Jadwiga MIZIŃSKA

AUTORYTET: PRZYWÓDCA CZY PRZEWODNIK?

Będące niemal powszechnym doświadczeniem przeżycie relatywizmu, czy wręcz nihilizmu aksjologicznego, pokazało, że wolność absolutną, wolność od wszystkich ograniczeń – w tym także od autorytetów – człowiek odczuwa jako bezkresną rozpacz lub jako równie bezkresną nudę.

„Gdy człowiek wolny ponosi porażkę, to nikogo o to nie wini".
J. Brodski, *Pochwała nudy*

MECHANIZM UPADKU AUTORYTETÓW

Wychodzimy powoli z epoki autorytarnej. I cieszymy się z tego. Zarazem przeżywamy czas upadku autorytetów. I martwimy się tym ... Jak wytłumaczyć te dwa sprzeczne, czy też tylko ambiwalentne, uczucia?

Bliskie sąsiedztwo, tak „przestrzenne" (w słowniku te dwa pojęcia następują po sobie), jak i znaczeniowe terminów „autorytet" i „autorytarny", pozwala na stwierdzenie, iż w zjawisku autorytetu kryje się pewna zasadzka: podatność na nadużycie, przesadę, wypaczenie. Równoważnikiem, treściowym ekwiwalentem, autorytetu jest powaga moralna. Niebezpieczeństwo nadużycia raczej nie może dotyczyć elementu „moralności" – nigdy nie można być zanadto moralnym. Należy je zatem wiązać z momentem „powagi". Zastanówmy się przeto, na czym polega nadmiar powagi i dlaczego miałby on być groźny dla autorytetu: tak dla jego podmiotu, jak i jego wyznawców.

Powiedzmy, że dana instytucja, na przykład władza uosabiana przez jej przywódcę, cieszy się w danym społeczeństwie i w określonym historycznym okresie – autentycznym autorytetem. Znaczy to, iż społeczeństwo w swej większości poważa ów autorytet, liczy się z nim, utożsamia się z głoszonymi przezeń ideami i programami i przestrzega ich w codziennej praktyce. Sam przywódca budzi szacunek i respekt – jego słowa są traktowane serio i stanowią rodzaj wyroczni w kwestiach politycznych, ideologicznych i społecznych. Jednakże z upływem czasu, wskutek zmian w sferze życiowej, w bliższym i dalszym otoczeniu, na które władza – strzegąca status quo – nie reaguje na bieżąco, autorytet poczyna się „starzeć". Aby mimo wszystko zachować swój status, wzmaga różne formy kontroli swego oddziaływania. Poczyna wykazywać ten-

dencję do ingerowania we wszystkie, a nie tylko polityczne, sfery życia obywateli, redukując do minimum obszary prywatności. Ponadto zaczyna stosować przemoc wobec mniejszości, która go nie uznaje za autorytet. W ten sposób, wychodząc poza pole swojego rzeczywistego wpływu, zdobywając siłą „tereny peryferyjne", wkracza na drogę wiodącą go jednocześnie do przerostu i inflacji. Pojawiają się dodatkowe instytucje mające na celu wyłącznie kontrolowanie, czy wszyscy w dostatecznym stopniu wykazują szacunek i lojalność, a nade wszystko – posłuszeństwo w stosunku do władzy (cenzura, służba bezpieczeństwa, system nieformalnej inwigilacji i donosicielstwa). Stopniowa powaga moralna autorytetu przekształca się w przewagę polityczną; moc etyczna, zawarta w ideach i wsparta na wiarygodnych wartościach – w siłę fizyczną.

Wysiłki te koncentrują się głównie na rozbudowie formy, jak gdyby obowiązywała zasada: im bardziej wątpliwa staje się treść moralna, tym więcej zabiegów należy włożyć w podkreślenie powagi autorytetu. Rozbudowuje się więc cały system osobliwej obrzędowości i ceremoniału: wieców, przemówień, manifestacji poparcia. Pełnią one zadanie z jednej strony ciągłego przypominania o konieczności posłuchu, a z drugiej – sprawdzianu lojalności. Czas obietnic zamienia się w czas ukrytych i jawnych pogróżek; wobec nieobecnych na ceremoniach wyciąga się dyscyplinujące ich konsekwencje. Posłuch, dawniej osiągany szacunkiem dla ideałów, obecnie zaczyna być wymuszany w postaci posłuszeństwa. Jeśli idzie o stronę emocjonalną (autorytet wszak opiera się w znacznej mierze na apelowaniu do uczuć), to respekt ustępuje miejsca strachowi. Przy czym przeżywają go tak obiekty, jak i sam podmiot autorytetu.

Strach podwładnych jest coraz bardziej jawny, nieskrywany, lęk przywódcy zaś – maskowany tym, iż odgradza się on od ludu ciągle rosnącym murem oficjalności. Sztywnieje przez to, zastyga w monumentalnych i hieratycznych pozach, co ma wywołać wrażenie powagi i niewzruszoności. Ten etap „usztywniania" autorytetu zwiastuje już zbliżanie się jego stadiów schyłkowych.

U ludzi, w ich psychice, zachodzi pewna paradoksalna reakcja, opisywana między innymi przez matematyczną teorię katastrof[1]. Polega ona na tym, że podobnie jak w przypadku przerażonego psa, który tylko do pewnego momentu „kładzie i płaszczy uszy na karku", co symbolizuje jego strach, nagle zaś „rozwiera pysk", co wyraża wściekłość, również u ludzi działanie czynników mających wzmagać strach przed autorytarnym autorytetem nieoczekiwanie wywołuje zgoła inną reakcję – powoduje ich gniew. Ponieważ ów gniew jest tłumiony (ludzie, inaczej niż psy, liczą się z długodystansowymi

---

[1] Zob. R. Thom, *Parabole i katastrofy. Rozmowy o matematyce, nauce i filozofii*, tłum. R. Duda, Warszawa 1991, s. 85.

następstwami swych zachowań), przekształca się w resentyment. Resentyment zaś stanowi mieszaninę strachu i złości. W wymiarze społecznym znajduje on zastępcze formy rozładowania – mianowicie śmiech.

Pojawienie się fazy śmiechu z autorytetu, wykpiwania go przez lud w formie anegdot, karykatur, przedrzeźniania, aluzji, a także przez inteligencję – za pomocą, satyry, kabaretu czy powieści z kluczem, znamionuje stan kompromitacji tak treści, jak i formy. To, co miało straszyć, zaczyna śmieszyć. I właśnie śmiech jest tym, co ostatecznie kończy proces destrukcji powagi. Powagi sztucznej, wymuszonej, którą władza starała się pokryć swą faktyczną amoralność.

SZYDERSTWO I BANICJA – CZYNNIKI ROZKŁADU AUTORYTETU PRZYWÓDCY

Autorytet typu przywódcy powstał i jest dostosowany do społeczeństwa masowego, rządzonego prawami „Wielkiej Liczby" (W. Szymborska). Trudno o wnikliwszą charakterystykę relacji masa – władza, niż ta, jaką zawiera książka E. Canettiego, zestawiająca te pojęcia w tytule[2]. Z naszego punktu widzenia najistotniejszy jest osobliwy splot wzajemnej „miłości" (masy nie mogą się obejść bez autorytarnej władzy) i „nienawiści" (masy od fanatycznej miłości i kompletnego posłuszeństwa nagle przechodzą do agresywnej, nie znającej hamulców, wściekłości wobec obiektu niedawnego kultu).

Jedną z przyczyn tych raptownych odwróceń znaku pozytywnego na negatywny, jakim przedmioty autorytetu opatrują jego podmiot, jest dystans oddzielający „tego, który wszystko wie najlepiej", od tych, którzy sami „nie wiedzą niczego". Właśnie ów dystans w trakcie efektywnego pełnienia funkcji przez przywódcę jest wypełniany ceremoniami. To one, będąc z początku nośnikami powagi, stają się też z czasem przedmiotem śmiechu.

Współgranie momentu powagi i momentu niepowagi, według M. Bachtina, jest obecne w każdej kulturze, i o ile nie zostanie sztucznie zakłócone, decyduje o harmonii przeciwieństw i zaspokajaniu pełni ludzkich potrzeb.

Bywają jednak okresy, kiedy kultura popada w przesadę i staje się nadmiernie oficjalna. Wówczas włącza się „higienizujący" ją mechanizm „karnawału". Jego istota zasadza się na „postawieniu na głowie" hierarchii wartości obowiązujących w okresie „postu". Post jest tu synonimem powagi oficjalnej, karnawał natomiast – przyzwolonego (także oficjalnie) śmiechu. Błazen zostaje obwołany królem, król staje się obiektem kpin, szyderstwa i wyśmiewania. Dzięki temu nagromadzone i zalegające w psychice ludu negatywne wobec

---

[2] E. Canetti, *Masa i władza*, tłum. E. Borg, M. Przybyłowska, Warszawa 1996.

autorytetu emocje zostają wyładowane. Po okresie „wyszalenia się" wszystko wraca na swoje miejsce. Porządek sacrum i profanum, a także granice między nimi zostają zachowane i niejako „odśnieżone".

W społeczeństwie nowoczesnym sfera śmiechu została zminimalizowana, a w ustroju totalitarnym – w ogóle wyeliminowana. Bodajże nigdy wcześniej odruch śmiechu nie był tak mocno tłumiony i prześladowany jak właśnie w totalitaryzmie. Świadczą o tym choćby wyroki skazania na pobyt w łagrze za opowiadanie politycznych anegdot. Strach przed śmiechem – to jedna z mniej rozpoznanych stron typu władzy, w której przywódca zwykle sam uosabia nie tyle powagę, co ponurość.

Niejako na zasadzie przeciwwagi społeczeństwo posttotalitarne odbija sobie niedawny zakaz śmiechu jego nadmiarem. Lecz nie jest to bynajmniej śmiech karnawałowy, będący ekspresją potrzeby zabawy, odprężenia, ulgi, a także mający określony obiekt: powagę autorytetu władzy wcielanej przez króla. Zamiast śmiechu naturalnego, zdrowego i oczyszczającego (jak np. katharsis w teatrze), w świecie posttotalitarnym, gdzie – także pod wpływem zachodniej cywilizacji konsumpcyjnej – niemal wszelkie dawne „świętości" uległy desakralizacji, rozlega się niezdrowy chichot. Jest on w swej intencji szyderczy: ma na celu nie zabawienie się kosztem czegoś lub kogoś przesadnie poważnego, ale kompletną destrukcję wartości osłanianych ową powagą. Podczas gdy karnawał okresowo „stawiał na głowie" stałą hierarchię, dzisiejsza s k a r n a w a l i z o w a n a kultura burzy wszelkie hierarchie.

Szyderstwo i zjadliwa ironia wkroczyły na miejsce śmiechu. Wobec zjawiska autorytetu działają one jak kwas solny przeżerający – bez wyjątku – wszystko. Rzec by można, że jest to odroczona, a przez to tym silniejsza i bardziej destrukcyjna, masowa reakcja na długotrwałą i napuszoną, oficjalną powagę Władzy Strachu.

Drugą przyczyną dzisiejszego procesu upadku autorytetów jest fenomen „społeczeństwa wędrujących piasków". Obojętne, czy wskutek katastrof ekonomicznych i politycznych, czy też dzięki wzrostowi zamożności, miliony osób przemieszczają się po całym globie ziemskim. Rozmiar owej „turystyki" jest tak olbrzymi, że socjologowie coraz częściej mówią o zmianie trybu życia osiadłego na wędrowny. Jako jeden z pierwszych dostrzegł to Z. Bauman. W nawiązaniu do koncepcji Maxa Webera pisze on o wyrugowaniu modelu pielgrzyma (zdążającego uporczywie przez całe życie do jednego, duchowego celu) przez typ spacerowicza, włóczęgi, turysty i gracza – poruszających się po przypadkowych torach czasoprzestrzeni społecznej.

Rezultatem tej zmiany jest rozszerzenie horyzontów intelektualnych i aksjologicznych, co sprzyja wzrostowi tolerancji, lecz jednocześnie podkopuje wiarę w wyjątkowość własnej kultury i zaufanie do niej. Pociąga to za sobą relatywizację wszelkich ocen, również ocen moralnych. Rosnące tempo życia pozwala jedynie na powierzchowne odniesienie do jego kulturowej

wielowymiarowości, w efekcie uniemożliwiając jej dogłębne poznanie. Powierzchowność tę manifestuje dominująca dziś kultura masowa i konsumpcyjna, której ideowym odpowiednikiem okazuje się być postmodernizm.

Konkludując: współczesny nomadyzm, udostępniając rzeszom turystów dostęp do wszelkich wymiarów kulturowej czasoprzestrzeni, sprawia, że stają się oni przelotnymi lokatorami (bo przecież nie mieszkańcami) globalnej wioski, gdzie wszyscy inni, przypadkowi i chwilowi sąsiedzi, pozostają sobie nawzajem równie obojętni.

Lecz oprócz zamożnych wędrowców – turystów, w ruch po naszej planecie zostały też wprowadzone masy włóczęgów. Josif Brodski, zaproszony w roku 1987 do Wiednia z odczytem o doli pisarza-wygnańca, zanim podjął wątek będący przedmiotem obrad, wyraził zażenowanie, iż użalając się nad losem elit, nikt nie pomyślał o doli zwykłych ludzi brutalnie wyrzuconych z ich ojczystych krajów, gdzie panuje głód, terror polityczny, wojny. O tych, których nikt nie zliczy, gdyż „sięgając milionów umykają wszelkiej rachubie i stanowią to, co z barku lepszego słowa lub wyższego stopnia współczucia – nazywamy migracją. Jakkolwiek brzmi stosowne określenie tego zjawiska – pisał – jakkolwiek przedstawiają się jego pobudki, pochodzenie i cel podróży tych ludzi, jakikolwiek wywierają wpływ na porzucane lub przygarniające ich społeczeństwa, jedno jest pewne – wobec ich istnienia trudno mówić z podniesionym czołem o ciężkim losie pisarza na wygnaniu"[3].

To ostatnie zdanie można (i należy) odczytać jako obraz bezsilności wszelkich „powag moralnych", które w dzisiejszym nawrocie rozpasanego barbarzyństwa albo milczą, albo są jedynie głosem wołającego na puszczy wobec lawiny nieszczęść i cierpień włóczęgów, siłą pozbawionych swych domów, rodzin i ojczyzn. Mówiąc o autorytecie, rozważając jego kaprys, należy wziąć pod uwagę także tych, którzy – przeżywszy exodus – będą pamiętać milczenie i obojętność rzeczników humanizmu, na których interwencję i pomoc, być może, liczyli.

Tak oto z jednej strony bezustanny chichot społeczeństw zamożnych, mogących sobie pozwolić na igranie z tradycją i wykpiwanie jej, a z drugiej strony bezbrzeżne morze cierpień społeczeństw ubóstwa – to dwa krańce rzeczywistości naszej epoki porażonej upadkiem autorytetu. Stykając się ze sobą, domykają one nie tyle „zaczarowane", co „odczarowane" koło, przeklęty krąg, w którego centrum, zamiast sacrum, miejsca świętego, strzeżonego przez autorytet, zieje pustka.

Kto lub co mogłoby sprostać zadaniu wypełnienia tej pustki żywą treścią i sensem przemawiającym do ludzi doświadczonych zwątpieniem, sceptycyz-

---

[3] 3 Zob. J. Brodski, *Pochwała nudy*, tłum. A Kołyszko, M. Kłobukowski, Kraków 1996, s. 24n.

mem, cynizmem? Któż z „ludzi śmiechu" i „ludzi płaczu", przeszedłszy bolesny eksperyment już to przesytu, już to głębokiego zawodu, mógłby i zechciał uwierzyć w jakiś wskrzeszony super-autorytet? Gdzież on był, kiedy wszystko wokół rozsypywało się w gruzy?

A z drugiej strony: czy można i jak długo można obchodzić się bez czegokolwiek, co wzbudza niekłamany szacunek, podziw, cześć, co pozwala nadawać kierunek w bezładnym miotaniu się po rzeczywistości, która wprawdzie zatarła ostre granice kultur i wiar, ale której drogowskazy na skrzyżowaniach obracają się wraz z wiatrem?

Będące niemal powszechnym doświadczeniem przeżycie relatywizmu, czy wręcz nihilizmu aksjologicznego, pokazało, że wolność absolutną, wolność od wszystkich ograniczeń – w tym także od autorytetów – człowiek odczuwa jako bezkresną rozpacz lub jako równie bezkresną nudę.

Choć, bez wątpienia, wolność jako swobody polityczne i obywatelskie, z wolnością sumienia i wyznania na czele, stanowi wartość, to jest ona zaledwie warunkiem, środkiem do wyboru obiektów czci (jak to nazywa E. Fromm). Świadectwem tego, że ludzie nie potrafią obejść się bez nich, jest powszechna i charakterystyczna dla zhomogenizowanej kultury masowej „idolatria": żywiołowo powstające i wzmacniane oddziaływaniem mass mediów grupy „wyznawców" idoli, zarówno w dziedzinie rozrywki (filmu i muzyki młodzieżowej), jak też sekt quasi-religijnych z ich guru na czele, nierzadko opętujących dusze i ciała osób spragnionych czegokolwiek, co by je wyratowało z poczucia bezsensu, absurdu i samotności.

Rzec by można, że epoka dzisiejsza to czas jednocześnie „trzęsienia ziemi" dla autorytetów tradycyjnych oraz nieumiejętności znoszenia stanu sieroctwa po nich. Należy stąd wnosić, że chociaż przeżył się pewien typ autorytetu, to sama potrzeba, ba! niezbędność istnienia autorytetu, pozostała żywa i dominująca.

„POWAGA MORALNA" CZY „SUBTELNOŚĆ SERCA"?

Moja teza w tej mierze brzmi: obecny kryzys autorytetów zdeprecjonował (prawdopodobnie w sposób nieodwołalny) tylko ten rodzaj autorytetu, jaki był dostosowany do społeczeństwa osiadłego, stabilnego i statycznego. Wykształciło ono sobie adekwatny typ autorytetu, taki, który raz posiadłszy racje moralne i zdobywszy dla nich szacunek, ma je „na zawsze". Nie muszą być one coraz to testowane i sprawdzane, wystarczy w nie uwierzyć i dochować im wierności. Ten typ autorytetu jego wyznawcy chętnie windują na pomniki, cokoły i ołtarze. Niekiedy podmioty autorytetu są zmuszane wbrew sobie, by zastygnąć tam w sztywnych, monumentalnych pozach. Niestety, gdy zawirowania historii dezawuują owe „wieczne racje", rozczarowanie kieruje się także

przeciwko nim. Pierwszym rewolucyjnym czynem jest zwykle strącenie ich z piedestałów.

Społeczeństwo wędrowne, dynamiczne, ruchliwe potrzebuje dostosowanego do nowego trybu życia i myślenia – także n o w e g o t y p u autorytetu. Jedno z pewnością o nim wiadomo, iż nie może to być spiżowy pomnik. Wobec tego – jakie powinien on mieć cechy? Zanim jednak odpowiemy na to pytanie, trzeba zastanowić się, jaka wartość uznawana dotąd za fundamentalną (na której wspierały się autorytety pokruszone) uległa przekształceniu. Dwudzieste stulecie taką swoją centralną wartością – wpierw wywindowaną na najwyższy poziom, a następnie skompromitowaną – uczyniło p e w n o ś ć. Pochodząca od Kartezjusza w i a r a w ostateczną pewność, jako ekwiwalent prawdy, przeniknęła wszystkie płaszczyzny życia: naukę, ideologię, etykę, i zaowocowała wygenerowaniem typu autorytetu statycznego. Przybrał on postać przywódcy. On sam się nie porusza – kieruje jedynie ruchem mas. Wymaga ślepego zaufania i posłuszeństwa. Nie zna przy tym pozycji pośrednich: albo stoi wysoko nad tłumem wyznawców, albo upada.

Również autentyczne „powagi moralne", niekoniecznie związane z władzą polityczną, dziedziczyły znamiona przywódcze. Mówi o tym znane powiedzenie przypisywane M. Schelerowi, iż drogowskaz nie musi chodzić po drodze, jaką wskazuje – albowiem wciela on w sobie, zabezpiecza i stabilizuje wartość p e w n o ś c i m o r a l n e j. Kierując się nią, odbiorcy autorytetu mają budować „lepszy świat" i doskonalić się sami, ściśle na jego wzór.

Za J. Brodskim proponuję w charakterze alternatywy dla owej „pewności moralnej" przyjąć wartość „moralnego zabezpieczenia" – swego rodzaju wyposażenia turysty, które może „poruszać się" razem z nim nie doznając uszczerbku: „Ponieważ nie mamy właściwie w czym upatrywać nadziei na lepszy świat, a wszystko inne tak czy owak nas zawiodło, musimy utrzymywać, że literatura stanowi dla społeczeństwa jedyną formę zabezpieczenia moralnego; że zapewnia stałe antidotum wobec zasady człowiek człowiekowi wilkiem; że dostarcza najlepszych argumentów przeciwko wszelkim buldożerowym rozwiązaniom problemów masowych – choćby dlatego, że różnorodność ludzka jest dla literatury niewyczerpanym bogactwem moralnym, a zarazem jej raison l'être. Musimy mówić, musimy obstawać przy tym, że literatura jest największą – z pewnością większą od wszystkich wyznań – nauczycielką s u b t e l n o ś c i (podkr. – J. M.) oraz że społeczeństwo, które godzi w naturalny żywot literatury i zdolność ludzi do czerpania z niej nauk, uszczupla własny potencjał, spowalnia tempo rozwoju, wreszcie naraża się na zagładę. Jeśli oznacza to, że musimy rozmawiać sami ze sobą, tym lepiej – niekoniecznie dla nas, ale może dla literatury"[4].

---

[4] Tamże, s. 25.

Chociaż trudno dziś ludzi nawracać na wiarę w autorytet traktatów filozoficznych czy ideologicznych manifestów, nadal niewykorzystana w tej funkcji pozostaje zalecana przez M. Kunderę „mądrość powieści", czy też preferowana przez J. Brodskiego „mądrość literatury". Przewaga literatury (sztuki w ogóle) nad teorią, choćby i filozoficzną, w kwestii autorytetu wynika z samej funkcji, jaką ona spełnia. Mianowicie – nie pragnie ona wprost pouczać, „ustawiać" czytelników, władać ich duszami, przewodzić ich życiowym poczynaniom. Zadaniem i sensem literatury jest dawanie świadectwa wielorakim ludzkim losom. Z równą pieczołowitością i uwagą opisuje ona bohaterów i nikczemników. Pragnie bowiem towarzyszyć ludziom w ich dramatach, rozterkach, tragediach, nie dopisując do nich – jeśli jest to sztuka wysokiego lotu – jednoznacznych point. Ufa bowiem czytelnikom, że potrafią sami, poprzez pryzmat własnych doświadczeń, najgłębiej prywatnych, odnaleźć moralne powinowactwo z postaciami wprawdzie fikcyjnymi, lecz stanowiącymi zabezpieczenie przed poczuciem moralnej samotności.

Reorientacja co do roli autorytetu: oczekiwanie odeń już nie przywództwa, a przewodnictwa, w swoim tle ma też zmianę spojrzenia na ludzką egzystencję w samotności. Zamiast pojmować ją po prostu jako życie, serie jednostkowych biografii, co implikuje jedynie pożądanie szczęścia i ziemskiej satysfakcji, dzięki literaturze stajemy się uczestnikami Losu obejmującego łańcuch pokoleń, i w tej perspektywie doświadczenie nieszczęścia, na równi z doświadczeniem szczęścia, jawi się jako konieczne i niezbędne w wypełnianiu się ludzkiej doli.

W przeciwieństwie do traktatów moralnych, kładących nacisk na ideały i powinności i stawiających przed ludźmi wymagania sprostania im pod karą moralnego potępienia i odrzucenia, literatura nastawiona jest nie tyle na osądzanie i naprawianie „zepsutej" natury ludzkiej, co na wysubtelnianie serca poprzez budzenie współczucia, empatii, zrozumienia dla słabości i ułomności człowieczych. Jeśli jest to sztuka wysokiego lotu, to rezygnuje z moralizatorstwa i rezonerstwa. Swój cel – uszlachetnienie ducha – realizuje nie wprost, nienachalnie i nienatrętnie. Przedstawiając z równym pietyzmem świętych, bohaterów, co zbrodniarzy, pozwala wniknąć w motywy ich postępowania. I – co najważniejsze – osąd pozostawia czytelnikom, którzy sam na sam obcując z książką, mają czas i okazję osobiście rozważać racje za i przeciw, a także – zestawiać i porównywać życie własne z życiem i losem innych ludzi.

Tylko w takich warunkach (nie zaś na wiecach, zebraniach czy w innych formach publicznej „spowiedzi") może się rozwijać wrażliwość moralna i to, co Cz. Miłosz nazywał „sumieniem skrupulatnym". Książka jest więc tym „trybunałem moralnym", jaki turysta może, dosłownie, wozić ze sobą, pozostając z nią w ustawicznej polemice, prowadząc z jej bohaterami nieustanny dialog. Autorytet „wędrowny", przez nią symbolizowany, oznacza, iż został zniesiony przedział między podmiotem a przedmiotem. Jeden i ten sam człowiek, uwew-

nętrzniając różne racje postępowania postaci literackich podobnych sobie, staje się dla siebie dwoma głosami. Tylko tak – w postaci wiecznego niepokoju – może on przemawiać jako „głos sumienia", które bez przerwy zestawia wymagania subtelności (kultury duchowej) z rzeczywistym barbarzyństwem własnych postępków człowieka. Jedynie w ten sposób, osobistym wysiłkiem i moralnym cierpieniem, uzyskana mądrość jest czymś, co faktycznie może wpłynąć na zmianę nagannego zachowania. Literatura ma też tę przewagę nad profesjonalną etyką, że uniwersalne wartości – i antywartości – wciela w czyny poszczególnych, zindywidualizowanych postaci. Poznając ich powikłane losy, upadki, wzloty, nawrócenia, czytelnik zaczyna rozumieć, iż jego własny los stanowi jedynie jeden z miliona milionów losów, z których każdy ma swoją prawdę zazwyczaj drogo okupioną.